№ 41.

Warszawa dnia $\frac{2}{14}$ Października 1865 r.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* złp. 10, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* złp. 25, Koperta *półrocznie* rs. 1.
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

SERCE I ROZUM MAGDALENY

POWIEŚĆ,

PRZEROBIONA Z FRANCUZKIEGO.

(Dalszy ciąg.)



Powietrze było ociężałe, bez najmniejszego powiewu. Kwiaty, powiędłe od żaru dziennego, cierpką woń tylko wyziewały; burza obarczała całą przyrodę. Niebo, na którem oczy moje daremnie szukały zachęty i pocieszenia, było ponure, a niekiedy milcząca błyskawica przecinała czarne chmur massy, gromadzące się powoli. Zesunęłam się na ławkę w rogu ganku.

— Bluźnierstwem jest Magdaleno! wypierać się miłości kiedy się kocha — rzekł do mnie Robert, zbliżywszy się tak żem go nie postrzegła i usiadł koło mnie. Pomyślałażeś o tem coby cierpiał ten... o którym mówiłaś mi kiedyś... którego kochasz, gdyby usłyszał jak przed chwilą wyrzekałaś się jego wiary i zniszczyłaś to, co serce twoje uwielbia?

— Zbytecznie troszczysz się o niego; bądź o to spokojny — odpowiedziałam. Przysięgam ci, że ten którego kocham niedba wcale o mnie. Szczęśliwym jest i zapomniał mnie.

— Więc kochasz go zawsze? spytał po cichu.

— Czy go kocham? — zawołałam rozpacznie; ależ umieram z tego!... Nie widzisz więc tego? Ah! czemuż nie jestem już pyłkiem prochu, który depczę nogami!...

— Nie wolno ci mówić o śmierci w twoim wieku, Magdaleno!

— Prawda — odrzekłam gorzko; śmiać się trzeba istotnie? i nie napastować szczęśliwych.... Cóżem zrobiła że tyle cierpię?... Ale spokój uzyskam kiedyś wkrótce, czuję to... Wtedy może zrozumiesz, Robercie, z czego umierają w moim wieku...

Stanęłam oszalała pod spojrzeniem jakie utkwił we mnie i uciekłam do mego pokoju.

— Cóżem zrobiła? zawołałam upadając na kolana wstydem przygnieciona; czym się zdradziła i poniżyła tak dalece?.... Ah! spażyło mnie to spojrzenie; gdybym mogła zagasić je wszystką krwią moją! Nędzne serce, oddałoś się!... Trzeba więc uciekać, zejść ztąd za jakąbądź cenę; nie narażę się więcéj na spotkanie tych oczu... Nie chcę rumienić się przed nim.

Zastanawiałam się czas jakiś, potem, powziąwszy nagłe postanowienie, wstałam i napisałam do doktora Bruneau, znanego mi od dzieciństwa, a który kochał mnie jak ojciec:— „Potrzebny mi jesteś; przybywaj!“ Wysławszy tę kartkę, poczułam się spokojniejszą. Położyłam się, ze stałą myślą nie wychodzenia z pokoju nazajutrz i dni następnych, dopóki nie ułożę trybu postępowania.

Nazajutrz o wczesnéj porze przybył mój doktór. Aż się cofnął ujrzawszy mnie.

— Widzisz — rzekłam podając mu rękę — idę ztąd prosto na Cmentarz.

— Cóż się tu dzieje? — rzekł sadzając mnie koło siebie. Zkąd taka zmiana niesłychana? przyznaj zaraz żeś jakieś głupstwo zrobiła albo, że ukrywasz ciężkie jakieś zmartwienie?... Wyznaj mi prawdę, moja droga...

— Nic takiego, doktorze.

Popatrzył na mnie kiwając głową, a palcami rachował szalone uderzenia pulsów moich.

— Wiesz, doktorze, zawołałam nagle; jeżeli chcesz ocalić mnie, to możesz zrobić. Od ciebie, jedynie to zależy... — Rzeknij słówko a Magdalena twoja wróci do zdrowia.

— Zobaczmy! Cóż to takiego?... Szaleństwo jakieś?

— Tak, szaleństwo, ale niewinne, nikomu nie szkodzące, przeciwnie.... Chciałabym wyjechać gdzie... Nie śmij się, doktorze; bo to szczera prawda co mówię. Nudy zabijają mnie; pożerają i trawią dni i no-

ce moje, ciężkie jak ołów znudzenie, widzisz?... Ale nie znasz takiéj choroby.

— Owszem, brzydkie ona ma nazwisko, moja biedna Magdaleno.

— Ah! brzydsza to choroba niżeli nazwisko, wierzaj mi. Jeżeliś moim przyjacielem, doktorze, namówisz mojego stryja, żeby mnie wywiózł gdziekolwiek, byle bardzo daleko, do Hiszpanii, do Włoch, do Chin, jeżeli chcesz.

— No! to dałoby się zrobić a środek nie zły.

— Tak, drogi doktorze, ale trzeba to zrobić natychmiast; nie chcę tu zostać czterech dni, umarłabym pierwéj...

— Co za wulkan! a czemu sama nie ułożysz tego ze stryjem? On nic ci odmówić nie umie.

— Ale, mój dobry, doskonały przyjacielu, bo to jeszcze nie wszystko... Trzeba także przekonać stryja że ta podróż, potrzebna dla mnie, zaszkodziłaby Ludwice.

— Ale gdzież tam; tego powiedzieć nie mogę. Ludwika świeża jak jutrzenka i cudownie zdrowa. Zresztą, znam ją, za nic w świecie nie dałaby się skłonić aby cię puściła samą, bez niéj, tak cierpiącą jak jesteś.

— Tego się właśnie obawiałam — zawołałam zniechęcona, kiedy tak, to wyrzeknijmy się wszystkiego. Lepiéj zostać tu i skończyć od razu.

— Ależ, moje dziecko....

— Otóż, kochany doktorze — zaczęłam, z wysiłkiem — myśl sobie o mnie co chcesz, żem zły duch, niewdzięcznica — nie wiem co; ale to ona, to Ludwika, kiedy już wyznać to muszę, to mojéj siostry obecność zabija mnie. Nie zgadujesz mojéj nędzoty, prawda? Ah! jestem bardzo chorą, mój drogi doktorze. Tak, nie mogę już patrzeć na Ludwikę, moją drogą Ludwikę, którą tak kochałam niegdyś!..

— Co też mówisz, Magdaleno? Czyżby się zmieniła dla ciebie?

— Czulszą, milszą jest jak kiedy... Zgrozą cię przejmuję? Gdybyś wiedział ile się nacierpiałam na ten ból przeklęty, ulitowałbyś się nademną.... Zrób żebym wyjechała; wrócę wyleczona. Ujrzysz znowu twoją dawną Magdalenę, którąś ty kochał, którą kochali wszyscy.

Rozpłakałam się; silił się żeby mnie uspokoić i poszedł do mego stryja. Nie wiem co mu powiedział co powiedział Ludwice; ale tego jeszcze wieczora stryj oznajmił mi że za kilka dni oboje do Włoch pojedziemy.

IV.

Zaczęłam zaraz przygotowania do podróży, nie wychodząc jednak z pokoju, Ludwika siedziała u mnie. Obawiałam się żeby Robert nie żądał pozwolenia odwiedzić mnie, ale nie uczynił tego, za co wdzięczną mu byłam.

Doczekaliśmy tak 2 Września. Postanowiono że tego wieczora Robert z Ludwiką opuszczą Ville-Ferny i pojadą do Paryża czekać na mnie, gdzie miałam przybyć do nich za stryjem moim nazajutrz rano. Za dwa dni wyjeżdżaliśmy do Włoch. Zostawało mi więc kilka godzin tylko do przepędzenia w Ville-Ferny, a Ludwika domagała się żebym zeszła na dół i ten dzień ostatni spędziła w gronie rodziny. Wyjazd mój był tak blizkim, żem się czuła dość silną na widzenie Roberta i uległam. Kiedym weszła do salonu, oparta na ręku stryja, on siedział przy oknie, koło krosienek moich i bawił się roztargniony jedwabną pelą. Podniósł głowę na odgłos moich kroków.

Weszłam uzbrojona dumą, z postanowieniem okazywania tylko radości z wyjazdu, ale on zaczął domyślać się prawdy. Stryj podprowadził mnie do okna gdzie był Robert i posadził powoli w wielkiem krześle.

— Lepiéj się czujesz? zapytał mnie Robert. Kiedym już usiadła Ludwika przysunęła mi książki i robótkę; zdaje się żeś za słaba do wyjazdu w podróż.

— Silniejszą jestem niż się wydaje — odpowiedziałam dość mocnym głosem, zresztą, zmiana powietrza i rozrywki uzdrowią mnie szybko... Będziem chodzić w góry na długie wyprawy, wszak prawda mój stryju?

— Za tydzień Magdalena wdrapie się już na Białą Górę — odpowiedział stryj śmiejąc się.

I zaczęliśmy wszyscy kreślić drogi naszéj wyprawy przez Alpy i Włochy; według zamierzonych przystanków w rozmaitych miastach, za pięć miesięcy dopiero zjechać mieliśmy do Neapolu.

— A co zrobicie potem? zapytał Robert wachająco.

— Potem? odrzekł stryj: Magdalena chce wywieść mnie do Afryki, do Azyi, niewiem już gdzie, goniąc za słońcem. Dla czegóż nie mamy objechać całego świata do koła?

— Pozwolicie nam przynajmniéj uściskać was w Neapolu, kiedy będziecie się puszczać na Wschód? rzekła Ludwika.

— Jeżeli będziecie bardzo rozważni i grzeczni... to zobaczemy — odpowiedział stryj i wyszedł na zwyczajną codzień przechadzkę. Wzywał Roberta żeby mu towarzyszył, ale on odmówił.

Ludwika, zajęta bardzo ostatniemi przygotowaniami do mojéj podróży, w chęci oszczędzenia mi trudu biegała na wszystkie strony, dając rozkazy, a nieprzerywając pogadanki z nami. Jednakże wypadła raz chwila że musiała odejść do swego pokoju, by napisać kilka listów i zostaliśmy sami we dwoje z Robertem. W jasnych promieniach słońca brzęczały koło nas wesoło różne owady a głębie nieba bladego cokolwiek od zbliżającéj się jesieni, wzywały do ufności i spokoju.

— Kiedyż się zobaczemy? — poszepnął Robert.

— A... jutro, odparłam siląc się na uśmiech.

— Tak, a potem?

Nie miałam odwagi odpowiedzieć. Patrzył na mnie smutnie, nie odwracając oczu, jakby chciał wyryć w pamięci wszystkie rysy moje.

(d. c. n.)

WSPOMNIENIA

Z MOICH PODRÓŻY.

(Dalszy ciąg).

IV.

DOLINA MONT HERMON — ZABAWA.



Dolina do której przybyliśmy, jestto obszerna płaszczyzna, zamknięta w dalekim widokręgu łańcuchem bardzo wzgórzystych wyniosłości, i głuchą puszczą leśną. O ile tylko mogłem dojrzeć, wszędzie rozsypane były różnéj wielkości i różnego przeznaczenia budynki; tu sterczał wysoki komin fabryczny, jako w dzień świąteczny, cichy milczący, niby pustelnik myślą wzniesiony ku niebu: tam dom murowany lub świeżo uklecony z drzewa, tu obory, tam chlewy i stajnie, a wszystko to przegradzały kępy odwiecznych starodrzewów zostawionych umyślnie po wyciętym lesie, albo świeżo założone ogrody z drzewami owocowemi. Gdziem tylko rzucił okiem, wszystko odznaczało się niezmiernym pośpiechem w wykonaniu i świeżością pracy, którą Amerykanie umieją rozwijać z zadziwiającą szybkością.

Gdzieniegdzie piętrzyły się kupy budulca świeżo obrobionego, w około których powierzchnie ziemi całe zasłane były nie usuniętemi jeszcze wiórami. W innem miejscu stały rusztowania do ręcznego tarcia drzewa piłami; w innem nareszcie wznosiły się już zupełnie wykończone osady, z dworkami umajonemi drzewiną i otoczonemi kwiecistemi kwaterami. Towarzystwo całe na statku zgromadzone, postępowało ubitą drogą w długiéj rozbitéj kolumnie; na czele jéj szła muzyka grająca jakiegoś tryumfalnego marsza, z którą łączyło się kilkadziesiąt głosów męzkich i kobiecych a nawet i dziecinnych, tworzących dosyć zgodny chór, głuszący gwar ogólnéj rozmowy. Ponieważ my z naszemi towarzyszami, bo kapitan został na statku, obiecując później odszukać nas w umówionem miejscu w miejscowéj restauracji, byliśmy ostatni przy opuszczeniu statku, w kolumnie więc ludzi czerniejącéj przed nami, zajmowaliśmy sam jéj koniec i dla tego dźwięki muzyki i głos chóru, gubiąc w odległości dość znacznéj wszystkie niesforne tony, do nas dochodził w pełnéj harmonji, nadając niezwykły urok spacerowemu naszemu pochodowi.

— „Szczęśliwi ludzie“ odezwałem się do towarzyszki, „jakże zazdroszczę im wesołości.“

— „Szczęśliwi? zapewne“ odrzekła Karolina, „ale chociaż położenie rzeczy wiele się do tego przyczynia, w prywatnych jednak stosunkach w domu, w rodzinie pomiędzy bliższemi sobie, w oderwaniu od tego co ogółu dotyczy, zdobyć szczęście w mocy jest każdego człowieka. Później może opowiem szczegóły mnie dotyczące, wywzajemniając się za zwierzenia już przez pana zrobione, tu musiemy zająć się miejscowością, żeby wesoła, szczebiotliwa para za nami postępująca, nie posądziła nas o pedantyzm w utrzymywaniu zbyt poważnéj rozmowy.“

Obejrzałem się i rzeczywiście ujrzałem Jakóba w różowo śmiejącym się chumorze i tak zajętego rozmową, że na nas najmniejszego nie dawał baczenia Wdówka podtrzymywana za rękę, uśmiechała się także, kiedy niekiedy odpowiadając swemu gadatliwemu towarzyszowi, ale z godnością nieprzechodzącą granic przyzwoitości i umiarkowania. Za to Jakób wywijał laską jak tamburmażor, wskazując szczegóły okolicy więcéj go zajmujące, a z przekręconym kapeluszem na bakier przypominał bardzo hulaków paryzkich rozkoszujących się w cienistych laskach otaczających Paryż.

— „Z naszego Jakóba prawdziwy Paryżanin miss Karolino“ szepnąłem do towarzyszki, „śmieje się, gada, dowcipkuje, cały zaprzątnięty obecnością, jakby przyszłość nie do niego należała.“

— „Czyż pustota ma taki dla pana urok, że aż zdajesz się jéj zazdrościć?

— „Nie pani, ale rozwijając się we właściwych granicach, przyznasz że ma wiele powabu i wdzięku.“

— „Tak, to prawda, pustota o jakiéj pan mówisz może się podobać, ale nie podbije serca żadnéj mojéj rodaczki. Przyjaciołka moja nie taka jak ja gadatliwa, ale pełna rozsądku. Zaręczam że go nie długo zmunsztukuje jak oszalałego konia, co zobaczywszy step szeroki przed sobą, chciałby pobrykać i pohulać. Pustaków podobnych znany wybornie i właściwie ich oceniamy.

— „Mój towarzysz miss Karolino“ odrzekłem ujmując się za Jakóbem którego serdecznie kochałem, „ma wszystkie wady plemienne, ale i cnoty jakiemi się szlachetny jego naród odznacza. Wesoły, gadatliwy, trochę pusty i lekkomyślny, w każdéj chwili gotów jednak do najszczytniejszych poświęceń, oddając całego siebie na ofiarę pięknéj myśli. Łatwo zapalny i wrażliwy, w prędce się uspakaja przechodząc czasami w stan zupełnego odrętwienia. Ale pozór to tylko, bo niech znowu światło Boże promykiem go swoim oświeci, od razu w jednéj chwili, z cichego baranka zmienia się w lwa majestatycznego, napełniając drżeniem bojaźni wszystko co go otacza. Takim jest mój Jakób miss Karolino i jeżeli poznasz go lepiéj, jestem pewny że mu nie odmówisz szacunku.

— „Nie wątpię i szczerze wyznaję, że będę bardzo rada, jeżeli po pewnym czasie podzielę twoją opinję panie Stanisławie.“ Ale zwróćmy rozmowę do innego przedmiotu, i zatrzymując się Karolina, mówiła daléj wskazując ręką na roztaczającą się w koło nas płaszczyznę. „Cała ta dolina nie tak dawno, była pustą, zamieszkałą tylko przez małą osadę rolników. Dziś patrz pan jakie w niéj wre życie, a gdy jeszcze w dzień roboczy, zakipią w niéj kotły parowe i kominy zaczną oddychać kłębami czarnego dymu, wtenczas piersi Yakensów sprawiedliwą odetchnąć mogą dumą, chwaląc się dziełami swéj pracy i przemysłu. Jeszcze dziś dolina ta nie przedstawia żadnych upiększeń, wszystko w niéj nowe, świeże, tylko to co koniecznie potrzebne, ale za rok już jéj nie poznamy, a za dziesięć w prawdziwie czarodziejskiéj przedstawi się szacie. Tym czarodziejem, nowe ziemskie stwarzającym światy, jest przedsiębierczy i niezmordowany duch moich ziomków, zawsze ruchliwy gdzie idzie o rozwi-

nięcie pracy i osiągnięcie z niéj korzyści. A czy wiesz pan jak u nas rodzą się osady, wsie, miasta i wielkie grody? Oto dziś step pusty, albo gąszcz leśny z olbrzymami tysiącletniemi a może i więcéj. Do tego pełnego tajemnic świata, ocienionego gęstemi splotami gałęzi, liści i pnących się roślin, nawet w samo południe nie przedziera się promień słońca, nie dochodzi głos ludzki, tylko ciszę jego zakłócają szczebioty leśnego ptastwa, poryki dzikiego zwierza, i straszny trzask łamanych gałęzi pod stopą pantery, lwa lub tygrysa. Na ziemi błyszczą topiele bagniste, piętrzą się łomy powalonego od burzy drzewa, karłowate rośliny rozpinają swe szerokie liście, między niemi miga oko węża czychającego na zdobycz, albo przesuwa grzbiet olbrzymiéj jaszczurki, pełza i skacze rozliczne robactwo a nad tem wszyskiem unosi się rój skrzydlatych owadów, a raczéj miljony rojów barwnych, tęczowych, centkowatych, pancernych, błyszczących srebrem i złotem, brzękiem swych skrzydełek, stanowiących tło dla olbrzymiego koncertu dzikiéj ale wielkiéj natury. I wszystko rośnie i rozwija się w największéj swobodzie, ale jednego dnia stanął człowiek wśród téj głuchéj puszczy, wytężył oczy i wszystkie głosy zamilkły, przewidując utratę swego władztwa. W tydzień przybyło więcéj, stuknęły siekiery, skrzypnęły pługi, i nieprzeliczone miljony skrzydlatéj i pieszéj rzeszy zaczęły się usuwać przed straszną dla nich potęgą człowieka. W pół roku puszcza leśna przemieniła się w karczunek, a w dwa lata późniéj uznana za dobrą na wodzie przystań, albo ubogacona odkryciem jakich kopalnych bogactw, nagle przystraja się piętrowemi kamienicami, składami, magazynami, fabrykami, i w niespełna lat kilka znikają topiele, łomy leśne, zwierz i robactwo, a z pod ziemi wyrasta miasto, z władzą, kasą, funduszami, restauracją i teatrem a przedewszystkiem z drukarnią, księgarnią i pismem perjodycznem. Cały świat nowy przez nasze Stany zajęty, tą drogą powstał i tą posuwa się daléj, przyznasz pan że przykładów podobnéj działalności, wasza Europa nie przedstawia.“

— „Bo jako urządzona już nie ma potrzeby...“ odrzekłem, ale mi przerwała towarzyszka i rzekła z szyderczym niezmiernie uśmiechem:

— „Urządzona... przechwałki cokolwiek przesadzone.“

— „Wreszcie na podobne cuda nie ma u nas miejsca“ odezwałem się znowu ubodzony cokolwieczek lekkim traktowaniem ojczystéj mojéj półkuli, „nie mamy ani stepów podobnych jak Ameryka, ani odwiecznych pierwotnych lasów...“

— „Czy pan żartujesz, czy też sądzisz“ przerwała miss Karolina, „że tak pozbawiona jestem wszelkich wiadomości naszego świata dotyczących, że wszystko przyjmę za prawdę co mi powiesz? To pan w błędzie jesteś, ciekawość jak wiecie to dobrze, stanowiąca główne kobiet znamię, u was w Europie, być może, że najwięcéj dotyczy drobnostek domowogo pożycia, zajść, nieporozumień, płochych lub niebacznych sprawek, słowem tego motylowego życia, wymagającego tylko oczów, uszów i języka, marnotrawiącego czas bez pożytku a często ze szkodą bliźniego. U nas ciekawość kobiet, skierowaną jest do pożytku prawdziwego, do tego co bogaci umysł, co rozszerza ich wiedzę, co ich wtajemnicza w ogólny postęp, i zapoznawa ze wszelkiemi zdobyczami myśli ludzkiéj. Z pod takiéj ciekawości nie można wyłączyć chęci wiedzenia co się tu dzieje, a co gdzieindziéj; jak u nas jest, a jak u was; dlatego możecie nam wszystko mówić, ale nie wszystkiem przekonać, owa bowiem ciekawość tak pożytecznie rozwijana, zmysł krytyczny niezmiernie nam wykształciła.“

— „Jestem zdumiony i pokonany miss Karolino“ zawołałem z prawdziwem uniesieniem, „twoim wykształceniem, jasnym i zdrowym na rzeczy poglądem, twoją wymową i wyrobieniem uczucia prawdziwéj godności kobiecéj, jaka się przebija w każdem twojem słowie, ruchu i spojrzeniu. Gdyby wszystkie moje rodaczki do ciebie były podobne, gdyby pojęły że nie samem cackiem być na świecie powinny, że w duszy ich i sercu gore ogień święty, który pracą, staraniem, nauką i rozumem, winny rozwijać, och! mój Boże! wtenczas promieniejąc, najtajniejsze rozświetliłyby ciemnice, a anioł Boży unosiłby się po nad ich głowami, siejąc błogosławieństwo nieba we wszystkie zakątki.“

— „Nie wiedziałam że pan entuzjasta“ odrzekła z uśmiechem na to Karolina, „i dla tego połowę większą wygłoszonych pochwał muszę przyjąć na rachunek uniesienia obudzonego zapewne wspomnieniem tego, co najbliższe pańskiego serca.“

Milczeniem odpowiedziałem na tę uwagę, bo w myśli méj krzyżowało się tysiące obrazów, znikających jak cień i znowu jak cień powstających. Miss Karolina uszanowała tę zadumę i po chwili dopiero rzekła:

— „Otóż doszliśmy samego wiru zabawy. Ten przed nami budynek nie wspaniały ale wygodny, podobny bardzo do ogrodowéj altany, to owa restauracja, w któréj mamy się zejść z zacnym naszym kapitanem. Czysto umieciony plac przed nią, to sala balowa do tańca, na jaki nie długo czekać nam przyjdzie. Do koła widzicie stoliki z krzesełkami, to miejsce bezpłatne dla widzów jedzących i pijących. Po prawéj i lewéj stronie owe budki i szałasy, to improwizowane teatra i traktjernie dla ludzi mniéj jak my mających pieniędzy do stracenia. Znajdziecie w nich wszystko, marjonetki, menażerje, figury woskowe, kuglarskie sztuki, gry rozmaitéj nazwy, teleskopy, dziwy morskie, słowem wszystko czem człowieka nakarmić, napoić, zająć lub zabawić można. Daléj widzicie panowie obszary łąk i pastwisk a na nich stada bydła rogatego, z którem u nas w wielu miejscowościach nie wiedzą nawet co mają robić, i zabijają wprost dla skóry, łoju i rogów, porzucając mięso na pastwę dzikiego zwierza i ptastwa.

— „Ach pani“ odezwał się Jakób, gdyby mi ten kłopotliwy dla siebie produkt, dostarczano do Paryża, zjadłaby licha wasza Ameryka, czyby pochwaliła się choć jednem pociągnięciem pędzla pana Jakóba Vellion.“

— „A cóżbyś pan robił? zapytała wdówka spoglądając z pewnem politowaniem na mego przyjaciela.“

— „Chybabym zwarjował, gdybym miał co robić“ odrzekł Jakób, „nic bym nie robił“. Czy pani sądzi że w Paryżu koniecznie trzeba pracować i kłopotać się, żeby módz czas spędzać przyjemnie? Wcale nie, tylko trzeba mieć pieniądze, a tych dostarczyłyby mi wasze nieoszacowane woły z któremi tak się obchodzicie po barbarzyńsku.

— „Życzenie pańskie może się spełnić“ odezwała się na to Karolina, i mięso całemi połciami ściągniesz pan do Paryża, tylko wprzódy obmyśl sposób konserwacji go, żeby bez zepsucia mogło być w stanie świeżym przewiezione do Europy.“

— „Rada dobra, ale wybacz pani że korzystać z niej nie będę. To rzecz chemików, fizyków, a wreszcie rzeźników, ale nie pokojowych malarzy. Jeżeli ściany waszych pokoi nie oszpecone dzikim pędzlem dzikich waszych bazgraczy, to rozkażcie panie a w ciągu dni kilku wszystkie umaluję na kolor mięsa świeżego i przystroję je w najpiękniejsze rozbefy, pieczenie, polędwice, z tak ułudnym wykonane artyzmem, że nieraz rączki wasze będą chciały je ująć i wrzucić na patelnię.

— „Gust prawdziwie paryzki“ odezwała się wdówka z uśmiechem, „ale z grzeczności pańskiéj tylko w razie otworzenia jatek rzeźniczych, korzystać będziemy...

— „Zawszem gotów na spełnienie rozkazu“ szastając się w ukłonie odrzeł Jakób, a wdówka mówiła daléj:

— „W przyrzeczeniach podobnego rodzaju bądź pan oglądniejszy, bo Ameryka, zarówno mężczyzni jak kobiety niczego się nigdy nie wyrzekają i nie powiadają że to należy do chemika, a tamto do fizyka lub rzeźnika, bo czego dziś nie umieją, mogą nauczyć się jutro. Dziś ja np. prowadzę handel spirytualny, niech mi tylko przestanie procentować, natychmiast zostaję rzeźnikiem, albo cukiernikiem, wreszcie szewcem, stolarzem albo kucharzem we własnéj restauracji. Gdybym więc została np. rzeźnikiem, mogłabym przypomnieć dane przyrzeczenie, a wtenczas coby było?

— „Gdybyś pani nie tylko rzeźnikiem, ale została miljonowym bankierem, co uważam za lepsze i wygodniejsze, to i wówczas poczytałbym się za najszczęśliwszego, spełniając pani rozkazy, i mając sposobność dłuższego cieszenia się jéj miłem i tak przyjemnem towarzystwem.“

I mówiąc to Jakób melancholicznie przewrócił oczyma, ujął się za serce, myśmy rozśmieli się z komicznych jego poruszeń, a Karolina odezwała się:

— „No panowie, przed objadem możemy przejść się pomiędzy kramami i różnemi budkami, napatrzyć się ciekawościom i ciekawym coraz jakoś liczniéj gromadzącym się.

— „Pójdźmy! odrzekliśmy chórem i wziąwszy pod ręce nasze towarzyszki, wmięszaliśmy się pomiędzy tłumy.

(d. c. n.)

KAPLICA OŚWIECIMSKA
I NAGROBEK STANISŁAWA TARŁY
w Krosnie.

Przy ujściu Lubatówki do Wisłoki w Galicji, w powabnéj niezmiernie okolicy zasłoniętéj od północy wyniosłemi górami, a z przeciwnéj strony zdobnéj śliczną równiną, obsianą licznemi wioskami tuż przy gościńcu zwanym traktem węgierskim znajduje się małe miasteczko Krosno, niegdyś niezmiernie zamożne i handlowe, dziś pomimo schludności i porządku, pomimo murowanych domów, i kilku kościołów, zaledwie ślady domowéj zamożności zachowało. Pamiątek jednak historycznych w niem nie brakuje, a komu wypadnie być w Krośnie jakim przypadkiem niech nie ominie klasztoru księży Franciszkanów, budowy niezmiernie starożytnéj, w stylu gotyckim bo wzniesionéj z cegły jeszcze w r. 1380 przez Eryka Mora Franciszkana pierwszego biskupa Przemyskiego. W Świątyni téj już dobrze zewnątrz podniszczonéj, w środku zaraz przy wejściu po lewéj ręce, znajduje się kaplica bardzo troskliwie utrzymywana i widocznie znacznie późniéj sądząc z kształtu, przy kościele wyfundowana. Zdobi ją piękna kopuła pokryta miedzią, wystawioną zaś została przez Stanisława z Kunowa Oświecima dworzanina króla Władysława IV dla siostry swéj rodzonéj Anny, o których historja przechowała następującą wiadomość.

Ojciec tego rodzeństwa Florjan miał dwie żony i z pierwszéj Reginy Slaskiéj narodził mu się syn Stanisław z drugiéj Barbary z Szamot córka Anna. Od dziecinnego wieku chowając się razem, szczególnem już wtenczas zalecali się wzajemnie przywiązaniem. Gdy późniéj młodzieniec ukończywszy nauki oddał się zawodowi publicznemu, Anna znacznie młodsza pozostała przy rodzicach, wyrastając na niepospolitéj urody dziewicę. Stanisław za okazane męztwo i nabyte wykształcenie, zyskawszy łaskę króla Władysława IV, powołany został na dwór tego monarchy i oddano mu urząd dworzanina królewskiego, który go przypuszczał do wszelkich zabaw i uroczystości dworskich. Tam to po długiem niewidzeniu, ujrzał znowu siostrę swoją Annę, zdobną urokiem młodości i wdzięku i za chwycając się częstem jéj towarzystwem, wprędce oboje rodzeństwo, przywiązanie braterskie zamienili w gorącą miłość kochanków, tak dalece że zamarzyli o połączeniu się ślubami małżeńskiemi. Prawo jednak kościelne zabraniające tak blizkich związków, zamiarowi temu stawiało nie pokonaną zaporę; zrozpaczony Stanisław udaje się więc do Rzymu, gdzie w osobistem pozwoleniu Papieża ostatecznego szuka środka na urzeczywistnienie swoich nadziei. Anna pozostaje w domu, cierpiąca i bolejąca, z całą widać gwałtownością kochającego serca, kiedy zdołała uzyskać pozwolenie rodziców na krok tak niezwyczajny, prawie w dziejach ludzkości niepraktykowany. Nareszcie po licznych trudnościach i sprzeciwianiu się Stolicy Apostolskiéj, Stanisław zyskuje zezwolenie Papieża na zawarcie z siostrą małżeństwa i natychmiast, śle tak niespodziewaną wiadomość do domu zapowiadając spieszny swój powrót. Radość Anny była tak wielką, że serce jéj nie mogło wytrzymać nadmiaru szczęścia, i w téj tak radosnéj i najpiękniejszéj chwili swego życia, padła nagłą rażona śmiercią. Stanisław niedługo przeżył tak ciężką stratę, ale jeszcze przed zgonem ufundował ową kaplicę, sam samotne pędząc życie w dziedzicznéj wsi Potoku pod samem Krosnem położonéj.

Nad wejściem do Kaplicy, zwykle zwanéj Oświecimską, na marmurze czarnym znajduje się po łacinie napis, który po polsku brzmi jak następuje:

Bogu w Trójcy Jedynemu
Zwiastowaniu Najświętszéj Panny Bogarodzicy
Ś. Stanisławowi biskupowi i męczennikowi
Wszystkim Świętym Patronom

Wieczności i cieniom ś. p. szlachetnéj
Anny z Kunowy Oświecimówny,
Najukochańszéj siostry, najsmutniejszy brat
Stanisław z Kunowy Oświecim,
Dworzanin Najjaśniejszego Władysława IV
Króla Polskiego i Szwedzkiego
Na znak wiecznéj i śmiercią niezatartéj
Miłości i smutku.
Jakoteż przodkom, sobie i następcom swym żyjącym,
Dla modlitwy,
Umarłym na miejsce spoczynku
Z gruntu wystawić kazał
Roku od narodzenia Pańskiego 1747.

Po przejściu żelaznych krat, stanowiących drzwi wchodowe daje się zaraz spostrzedz ołtarz w którego głębi znajduje się piękny obraz przedstawiający S. Stanisława wskrzeszającego Piotrowina. Z jednéj strony patrzy się na to król Bolesław z dworem, z drugiéj zaś strony stoi cała rodzina Oświecimów, odznaczająca się temi samemi rysami twarzy i ubiorem, jaki na portretach daléj umieszczonych dają się widzieć. Na czele stoi Stanisław z siostrą swą Anną.

Według miejscowego podania, obraz ten ma być utworem sławnego malarza Van Dycka, a chociaż rzeczywiście odznacza się pięknym układem i żywym kolorytem, zdaje nam się że grzechu przeciw prawdzie nie popełniemy, przypisując go artyście Polakowi. W owym bowiem czasie obok nauk i sztuk pięknych kwitnęła u nas dosyć i sztuka malarska, Van Dyck zaś zdaje się że nigdy w Polsce nie był, odrobienie zaś obrazu tego, wymagało koniecznie obecności malarza na miejscu, bo inaczéj tak wierne skopjowanie rodzinnych portretów, nie dałoby się uskutecznić. Przewożenie zaś obrazów za granicę, tak drogocennych pod względem pamiątki rodzinnéj, było zbyt trudnem a nawet niebezpiecznem.

Po lewéj ręce ołtarza, wisi obraz w naturalnéj prawie wielkości Stanisława ubranego w strój szwedzki, i dającego doskonałe wyobrażenie mody, za panowania Wazów do Polski wprowadzonéj. Brodę ma małą zwaną i dzisiaj hiszpanką, wąs niewielki wije się po nad ustami, a włosy rozdzielone w samym środku czoła spadają w gęstych fryzowanych kędziorach aż na ramiona. Kolet rodzaj kurty zapewne ze skóry łosiowéj poopinany na liczne haftki i wyszyty gęstemi wypustkami na rękawach, piersiach i od ramion aż do pasa, zapięty jest na klamrę. Dalsze ubranie czerwone, obszerne, suto galonowane spada poniżéj kolan; buty palone szare z szerokiemi stylpami i potężnemi ostrogami, zdobią nogi. Z cholew zaś roztwartych, wysuwa się ku górze haftowany biały garnirunek, mocno nakrochmalony, suto okalający nogę aż po kolano. Podobny garnirunek widać przy rękach, a rodzaj szerokiego kołnierza haftowanego, zasłania mu całą szyję. W ręku trzyma trzcinę jako znak urzędu dworskiego a na szerokiéj szarfie haftowanéj, zawieszony miecz dotyka saméj ziemi. Pod spodem mieści się napis po łacinie:

Stanisław z Kunowy Oświecim fundator.

Po prawéj stronie ołtarza, znajduje się również tak wielki obraz młodéj Anny, w długiéj, białéj, fałdzistéj sukni ze spiętym gorsem i bufiastemi rękawami zasłaniającemi ręce do połowy po łokieć. Rodzaj szmizetki muślinowéj, haftowanéj w okrągłe zęby spiętéj na czarną aksamitną kokardę okrywa gors, a ręce w zgięciu opaski, także z czarnego aksamitu. Szyja ozdobiona jest sznurem pereł, czoło drobnemi loczkami, po za któremi część włosów zawiązana jest w pęk warkoczowy przewiązany także sznurem z pereł, a część ich w długich splotach spada do ramion po obu stronach głowy. Rękę trzyma na książce od nabożeństwa leżącéj na stoliku, na którym okrytym sukienną serwetą, znajduje się krucyfiks z ukrzyżowanym Chrystusem. Pod spodem mieści się napis:

Anna z Kunowy Oświecimówna najukochańsza fundatora siostra.

W niszach znajdują się jeszcze cztery popiersia. Pierwszy Jana Oświecima zapewne dziada z podgoloną głową w żupanie niebieskim i płaszczu czerwonym sobolami podbitym. Daléj idzie Florjan ojciec założyciela, twarzy poważnéj z siwym wąsem w żupanie białym i ferezji niebieskiéj ze złotemi guzami.

Naprzeciw Regina ze Ślaskich Oświecimowa matka fundatora w podeszłym już wieku, w płaszczu czarnym z kapturem na głowie a rękawiczki trzyma w rękach. Czwarty obraz przedstawia Barbarę z Szamot Oświecimową matkę Anny, kobietę średniego wieku w sukni i gorsie zielonym z szarfą i krótkiemi rękawami koronkowemi. W rękach trzyma książkę, włosy ma kształtnie i starannie uczesane. Ciała tych dwojga kochanków dawniéj w cynowych, dziś w drewnianych trumnach, spoczywają w sklepieniu pod kaplicą, do którego drzwi i wygodne schody prowadzą. Zwłoki Stanisława choć zczerniałe od czasu, dosyć się w całości utrzymały; ubiór zupełnie zbutwiały, ale z rysów wyschłéj twarzy widać że ją niegdyś męzka piękność cechowała. Z Anny oprócz czaszki i kilku kości prawie nic więcéj nie pozostało, każdy bowiem z podróżnych licznie grób ten nawiedzających, zwykł zabierać jakąś z sobą pamiatkę, ztąd szczątki jéj pośmiertne rozeszły się po całym świecie. Niedawno jeszcze we Lwowie była połowa wieńca bronzowego suto wyzłacanego i wysadzonego szlifowanemi kamieniami, zdartego chciwą ręką z martwéj głowy Anny.

Godnym także jest zwiedzenia wspaniała Fara wystawiona około roku 1350 przez Kazimierza W. Jest ona okazałéj gotyckiéj budowy, ozdobiona była niegdyś wieżą tak wysoką, że jak wieść niesie, wyższéj nie było w całéj Polsce.

Chluba ta i duma zarazem mieszkańców Krosna, przez pięć wieków wystawiona na działanie czasu, miotana wichrami i straszliwemi burzami, już w naszych czasach w proch się rozsypała, gruzem zasypując ulice i przesądnych mieszkańców napełniając trwogą. Niegdyś utrzymywała się przy niéj nader znaczna liczba duchowieństwa: — posiadała także wielką mnogość kosztownych naczyń i szat świętych, co wszystko taką nadawało jéj świetność, że uważana była za pierwszy kościół po katedrze Przemyskiéj. W środku znajduje się ośmnaście ołtarzy pięknéj roboty i mocnego wyzłocenia, a pomiędzy nagrobkami po lewéj stronie wielkiego ołtarza zasługuje na szczególną wzmiankę grób Stanisława Tarły biskupa Przemyskiego w roku 1537 przez Zygmunta I na tę godność wyniesionego.

Jest on kuty z kamienia i wmurowany w ścianę; przedstawia herb Topor, nad którym znajduje się infuła biskupia i pastorał, do koła zaś mieści się napis

po łacinie niezgrabnemi dopełniony literami następującéj osnowy:

„Tu leży najprzewielebniejszy w Chrystusie pan ojciec Stanisław Tarło biskup Przemyski, sławny ze znajomości rzeczy boskich i ludzkich, który umarł roku pańskiego 1544 d. 14 Grudnia".

Stanisław Tarło potomek starożytnego rodu Toporczyków urodził się w Szczekarzenicach dziedzictwie ojcowskiem około roku 1480. Obdarzony wielkiemi umysłowemi zdolnościami, obrawszy sobie stan duchowny za zawód swego życia, łatwo uzyskał wysokie dostojeństwa jakoto kanonję krakowską, kujawską, sandomierską i archidyjakonję lubelską. Łatwość wysłowienia się, i jak to mówią dzisiaj zręczność dyplomatyczna, powołały go wprędce na dwór króla Zygmunta I, który obdarzywszy go biskupstwem, używał do licznych poselstw z wielkiem dla kraju pożytkiem.

Przybywszy Tarło do Przemyśla, zastał dyecezją w zarządzie niezmiernie zaniedbaną, do poprawy któréj zabrał się z wielką skrzętnością, czem niezmiernie naraził sobie kanoników. Ci bowiem mając stosunki z Rzymem, u Stolicy Apostolskiéj wyrobili sobie posiadanie jednocześnie kilku bogatych probostw, właściwie rozporządzalnych przez samego biskupa, a że o to często byli strofowani, więc nowe rządy dyecezji nie były po ich woli i życzeniu. Szczególniéj jednak niechęć Tarły, dotknęła słynnego Stanisława Orzechowskiego, która wprędce przemieniła się w zaciętą nienawiść i zapalczywą walkę. Rzecz się zaś głównie tak miała:

Orzechowski od dziecinnego wieku, przez rodziców przeznaczony do stanu duchownego, już w tym kierunku odbierając wychowanie, po skończeniu szkół w Przemyślu wysłany został do wszechnicy wiedeńskiéj, doskonaląc się szczególniéj w starożytnych językach Rzymian i Greków. Ztamtąd udał się do Wittembergu i zasmakowawszy niezmiernie w rozprawach teologicznych bardzo tam rozszerzonych, zawiązał ścisłą przyjaźń, ze sławnemi ówczesnemi reformatorami Marcinem Lutrem i Filipem Melansztonem. Z Wittemberga pojechał do Padwy dla odbycia kursu filozofji pod Antonim Paryzeuszem, a krasomówstwa pod Łazarzem Bonamikiem, mężami obszernéj wiedzy i rozgłosu. Późniéj zawsze dla nauki bawił jakiś czas w Wenecji i w Bononji, a w końcu zjechał do Rzymu dla lepszego niejako przygotowania się do stanu przez rodziców mu przeznaczonego. Tam chociaż jeszcze małoletni, uposażony jednak rozległą nauką, znalazł bardzo łaskawe przyjęcie, tak dalece że zaszczycony względami kardynałów Kontaryniego i Aleksandra Farneza za wstawieniem się kardynała Ginucego, uzyskał od papieża archidyjakonją przemyską. Nadto rodzice rozległe mając stosunki, wyrobili mu dwie plebanje w Żurawicy i Pobiedniku, znaczne przynoszące dochody.

Mimo tego Orzechowski czując wstręt do bezżeństwa, odwlekał ile możności spełnienie gorących życzeń rodziców, aż nareszcie zagrożony wydziedziczeniem, uległ im lubo z niechęcią i od arcybiskupa Piotra Starzechowskiego kapłańskie przyjął poświęcenie. Dopełnienie aktu tego bez wiedzy nawet Tarły właściwego jego zwierzchnika, uposażenie się także w prebendy do biskupa szafunku należące, a także nie za jego wolą dokonane, obraziło niezmiernie Tarłę uważającego czyny te za ubliżające jego władzy i niejako za lekceważenie piastowanéj godności. Pozwał więc Orzechowskiego przed sąd duchowny, a gdy ten dla usprawiedliwienia się z zarzutów nie stanął, odebrał mu za pomocą władzy świeckiéj probostwo w Żurawicy pod Przemyślem, osadziwszy tamże innego plebana. Wynikły zatem zatargi, a kanonicy połączywszy się z Orzechowskim zanieśli na Tarłę skargę do prymasa i króla o wzbranianie się ponoszenia wspólnych kosztów z kanonikami na budowę kościoła katedralnego w Przemyślu, do czego był obowiązany przez postanowienie biskupa Stanisława Karnkowskiego. Ze skargą tą pojechał sam Orzechowski, a król Zygmunt mając ją przedstawioną, wyrokiem swym część kosztów budowy na Tarłę włożył.

Nieporozumienia jednak nie ukończyły się i trwały aż do saméj śmierci Tarły, przenosząc się na następcę jego Jana Dziaduskiego, ale już w formie łagodniejszéj okazującéj pobłażanie na burzliwy charakter Orzechowskiego.

Pomimo jednak tego należy oddać sprawiedliwość Tarle, że w urzędowaniu duchownem zalecał się godną pochwały gorliwością, która może czasami grzeszyła zbytnią surowością, ale usprawiedliwiały ją okoliczności. Obok tego przymiotu, dodawała Tarle niemało zalety głęboka nauka, obczytanie wszechstronne, znajomość historji i obcych języków. Napisał w języku łacińskim Dzieje Polaków w Prusiech, a współcześni pisarze nieszczędzą pochwał dla Tarły.

Sławny Teolog Jędrzéj Bocheńczyk wychwala jego wysokie zdanie, rodowitą wspaniałość, stałość umysłu i bogobojność, biegły zaś polityk Stanisław Górski mówi, że był uprzejmy, ludzki, wymowny, mający w świecie miłość i wziętość, że przytem był starowny w ubraniu, twarz miał zawsze wypogodzoną i w górę patrzył. Umarł d. 14 Grudnia 1544 roku i pochowany został w Krosnie, założywszy w kościele farnym dwa ołtarze: św. Katarzyny i Anny — i św. Fabjana i Sebastjana z zapisem jednoczesnym złp. 1,300 na utrzymanie mansjonarzy.

W zakrystji znajduje się obraz Tarły w postawie klęczącéj, ubranego pontyfikalnie w infule i ornacie, z rękami złożonemi do modlitwy i z oczami podniesionemi w górę. Przed nim stoi na ziemi druga infuła i tarcza herbowa z rysunkiem Topora. Przed biskupem unosi się postać Chrystusa Pana, obok stoi Matka Boska i św. Jan, a po drugiéj stronie św. Stanisław. U spodu znajdują się wiersze łacińskie; które późniejsza czyjaś ręka w następującym polskiem tłómaczeniu oddała:

Zniósł Stanisława ze świata los nieubłagany,
Chwałą biskupów, który i ojczyzny miany;
W téj leży ziemi, cnotą wyrówna każdemu,
Zwycięzony od śmierci ku życiu dusznemu.

Roku pańskiego 1548 d. 5 Września zawieszono.

SKARGA DZIEWICY.

W snach i marzeniach spotykam ludzi,
Oh! tacy dobrzy, każdy mi brat,
Gdy rzeczywistość ze snu obudzi,
I z mar gorących łono ostudzi,
Inny przedemną, inny już świat!

Ci sami ludzie zimnem obliczem,
Rozpłomienioną wnet chłodzą skroń,
Udani mędrcy, niezbici niczem,
Rwą tkliwą tkankę w sercu dziewiczem,
Gdy do nich szczerą wyciągam dłoń!

O! czemuż życia prześnić nie można,
Albo do lepszych przenieść się sfer....
Ale już widzę żem nieostrożna.....
Skarżyć na ludzi to rzecz zbyt próżna,
Gdy tylko w ręku Bożem jest ster!

Lipowa. *Emilja Prenier.*

PIOSNECZKA.

Tęskni, tęskni brzoza biała chociaż wzrosła w lesie.
Aż jéj wietrzyk na pociechę krople rosy niesie,
Wita rosę ucieszona, listkami szeleści,
Igra z wiatrem — gwarząc wspólnie o swojéj boleści,
Ocieniona gąszczem lasu, tęskniła do słońca
Czasem tylko ją olśniewał srebrny blask miesiąca.
Kiedyś jeszcze gałązkami co rosły na szczycie,
Popatrzyła się w gwiazd krocie — przejrzała w błękicie
Ale teraz Boże drogi — dokąd dąb ten stary,
Pościągał swe liściaste olbrzymie konary,
Tak zasłonił całe niebo, biednéj brzozy białéj,
Że jéj tylko liście dębu rosę otrząsały.
Biedna ona—pewno zginie bez światełka słońca,
Sama jedna wśród drzew obcych spłakana tęskniąca.
Oj ty dębie mchem obrosły zgubisz mnie sierotę,
Czyż za mało jeszcze tobie patrzeć w słońce złote,
Żeś zazdrościł samotnicy — srebrnych gwiazd promyka,
Że jéj każesz schnąć w tęsknocie bez szumu wietrzyka,

Rozżalona długo skarży — żałośnie, żałośnie,
Rozpuszczone jéj gałązki wiatr objął miłośnie
Pieszczotliwym szeptem swoim wzajem opowiada
Jak się do niéj przez dębowe konary przekrada,
Z pereł rosy dla swéj lubéj podarunki znosi
Każdéj gwiazdki po kolei o kropelkę prosi,
A z tą rosą, chłodem nocy — do lasu pośpiesza,
Brylantami lśniącą szatę na lubéj rozwiesza
I tak pieści tak żałuje — że biedna drzewina,
O niedoli — o tęsknocie swojej, zapomina.

Regina.

POGADANKA TYGODNIOWA.



Szczególnym zbiegiem okoliczności, społeczność nasza, a nawet podobno całego świata, razem z Dyrekcją teatru Warszawskiego, narzeka na brak kochanków rzeczywistych i scenicznych, którzy niknąc jak kamfora, rozwiali się w powietrznych kręgach realizmu, opasującego glob ziemski coraz silniejszemi kleszczami. Na świecie jeszcze pół biedy, bo czegóż niedostanie za pieniądze? Od czegóż są giełdy, taksy, i inne wymysły oświeconego naszego wieku, z hypoteką, wekslem i kredytem, związanego jak bracia Siamczycy? — Kurs się ożywi, podniesie, a kochankowie posypią się gradem, jak ziarno z przestałego kłosa, podciętego ostrem żelazem kosy.

Ale ze sceną trudniejszą sprawa. Tam bowiem, jakkolwiek wszystkie uczucia i gra namiętności, jest udaną, musi jednak być wiernym odbiciem rzeczywistości, bo inaczéj będzie nieznośnem kłamstwem, nienaturalnością, przesadą, wreszcie parodją zdolną wypłoszyć z teatru najmniéj nawet wymagającą publiczność. Tam artysta aktor, występując w roli kochanka, jeżeli niezdolny jest kochać prawdziwą szczerą miłością, jeżeli piersi jego nie ożywiało nigdy to święte uczucie, dozwalające z pamiątek i wspomnień serca, czerpać wzory do naśladowania, będzie kochankiem zimnym, sztywnym, pomimo westchnień, wzdychań i najczulszéj patetyczności. Ze sceną więc naszą będzie troszkę kłopotu, ale ani dla mnie, ani dla Was na szczęście.

W usprawiedliwieniu ironicznego zgryźliwego zaczęcia dzisiejszéj pogadanki, dam Wam tu malutki obrazek sceny, odbytéj w przyległym pokoju mojéj pracowni i niestety! najrzeczywistszéj w świecie powtarzającéj się dosyć często w zwyczajnych stosunkach społecznych. Aktorami było dwóch młodych ludzi kawalerów jak to mówią do wzięcia, najwyżéj po dwadzieścia sześć lat wieku mających urodnych, zgrabnych, salonowych, i wykształconych jakto zwykliśmy nazywać ludzi, paplających po francuzku i rzucających śmiałe zdania o wszystkiem i o niczem. Jeden się zwał przypuśćmy Gaudenty, drugi Pafnucy, i zszedłszy się przypadkiem w domowym mym kątku po przywitaniu serdecznem zaczęli rozmowę, któréj osnowy zajęty pracą nie dosłyszałem. Kiedy jednak miałem powitać nawiedzających mnie gości, nagle zatrzymałem się z ręką na klamce przy drzwiach niedomkniętych, bo rozmowa weszła na przedmiot niezmiernie dla mnie ciekawy, jako dla zbieracza obrazków ludzkich z natury.

— „Wiesz że się żenię“ — odezwał się Pafnucy— „i to w krótkich już abcugach.“

(Dodatek).

— „Żenisz się? — zapytał zdziwiony Gaudenty— pierwszy raz o tem słyszę. Z kimże przecie, a zapewne i bogato.

Pafnucy uśmiechnął się i bębniąc palcami po stole odrzekł z niechcenia:

— „Tak, coś około dwóchkroć gotówką, ale to mnie nie wiele obchodzi.“

— „Więc się kochasz?

— „Jakże chcesz inaczéj? — Żeniąc się kochać się trzeba, ale to mało mnie obchodzi.“

— „Przyszła twoja zapewne anioł piękności?

— „U — u — u“ — mruknął Pafnucy — tak niczego dziewczynka, świeża, młoda, rumiana, parluje, fortepjanuje, nawet rysuje i śpiewa, kocha mnie przytem jak papużka z gatunku nierozdzielnych, ale to mnie wszystko mało obchodzi.

— „Więc właściwie w téj małżeńskiéj sprawie cóż cię obchodzi? — zapytał Gaudenty z zadziwieniem.

— „No mój kochany“ — odrzekł Pafnucy cokolwiek zmięszany tak niespodziewanem zagadnięciem— „naturalnie cieszę się z tego wszystkiego, ale uroda rzecz strasznie znikoma, gruchanie miłości przeje się i spowszednieje, a młodość spełznie niby kwiat jesiennym mrozem zwarzony. Więc wszystko to jako rzeczy znikome, podległe zniszczeniu obchodzą mnie bardzo mało, ale spokojność, byt dobry, ciepły kącik domowy, wygody, pewność bytu, o to są warunki prawdziwego szczęścia, i te mnie obchodzą niepospolicie. Według nich urządzony wybór małżonki, jest najpewniejszą rękojmią zgody i przyjaźni zobopólnéj; bo będzie zawsze przypomnieniem komu to jestem winien, wyradzającem się jeżeli nie w miłość gorącą, to w uczucie wdzięczności, w przyjaźń, w szacunek, główne warunki szczęścia małżeńskiego. O to jest moja zasada, według któréj rządziłem się i urządziłem.“ Niech panna będzie nie wstrętna i nieodrażająca, aby tylko do ludzi podobna, a opatrzona w konieczne środki dające dobry byt, to możesz się żenić z każdą, czy jéj Józia czy Wiktosia na imię, czy blondynka czy szatynka, czy ją kochasz czy tylko lubisz, bo przy papu przyjdzie i miłość, a w głodzie schnie i ucieka.

— „No, nie mam nic przeciw temu“ rzekł z powagą zupełnie przekonany Gaudenty, że jednak to wszystko okręca się około posagu, jak nitka około kłębka, jesteś więc sam z sobą w sprzeczności, powiadając że cyfra posagowa mało cię obchodzi.

— „Jakie też z ciebie stare dziecko mój Gaudusiu, kiedy tak prostéj rzeczy nie możesz pojąć. Mnie idzie przedewszystkiem o fortunę dającą byt i wygodę o jakich ci wspomniałem. Szukam więc panny posażnéj dającéj pewność, że mi ani bytu, ani wygody nie braknie. Gdy tę znam to już mnie mało obchodzi, wielu krociom właściwie będę to winien, czy trzem czy sześciom, bo wcale nie jestem wymagającym, szukam bytu a nie bogactwa, szukam przy nim osoby, któraby mogła być znośną, choć troszkę podobającą się, robiąca nadzieję jeżeli nie raju domowego, to przynajmniéj nie piekła. Że zaś nic darmo na świecie nie przychodzi, więc i tę troszkę podobania, szacuję na pieniądze, i dla tego z dwóch panien oddanych mi do wyboru, wybrałem biedniejszą o jakie sto tysięcy, bo to jakoś ponętniejsza nie odraźliwa przynajmniéj, gdy do bogatszéj bez dziwnego wstrętu przybliżyć się nie mogłem. A jednak.... i z miną dosyć wyrazistą umilkł Pafnucy, a Gaudenty dokończył urwanego frazesu:

— „A jednak ożeniłbyś się z nią, gdybyś był nie spotkał dzisiejszéj swéj narzeczonéj“.

— „Ha! kto wie, możebym się i ożenił“ —odrzekł Pafnucy — „ostatkami goniąc jak wiesz, zrujnowany na staraniu o żonę, bo Warszawka djabelsko kosztuje cóż miałbym robić? — Przecieć szewcem nie zostanę, ani ekonomem za trzysta złotych“.

— „To djabelska sprawa“ — z westchnieniem szepnął Gaudenty — „ale radbym poznać tę wstrętną dla ciebie boginię, może nie znajdę jéj tak odrażającą. Gusta różne są na świecie....“

— „Daj pokój mój bracie, ja w kwestji téj bardzo strawnego żołądka, a słowo daję, nie mogłem, powiadam ci nie mogłem. Figura, twarz, głowa to fraszka, ale w głowie takie pustki i chaos zarazem tak dziwaczny, że czasami patrząc na tego cudaka i słuchając, zdawało mi się żem w domu warjatów.“

— „Wszystko to może być prawdą mój drogi Pafnusiu, ale jednak poznać nie zawadzi. Wiesz że i moja hypoteka strasznie kolczystemi nasadzona ciernia-mi, na obcięcie ich trzeba koniecznie złotego nożyka, i to zaraz, dziś, jutro, nie zwlekając. Czasu prawie nie ma chwili, więc dopomóż mi w zbliżeniu się....“

— „A czemuż do Anielki ostrzéj się nie weźmiesz? Wiem że nawet między wami był mały romansik, a stary pieniężny...“

— Ale gdzie tam; wystaw sobie wszyscyśmy go mieli za możnego człowieka, tymczasem przekonałem się przypadkiem, że choć obrotny, sprytny i zabiegliwy, ale tylko szych umiał przedstawiać za złoto, bo sam goły jak turecki święty.

— No, proszę, a ja go zawsze miałem za pieniężnego. Więc Anielka...“

— „No, cóż Anielka, miła, przyjemna,“ odrzekł Gaudenty cokolwiek zasępiając czoło, „kocham ją, to jest lubię... bardzo lubię, aleć szalonym nie jestem żebym się z nią żenił. Potęschniemy i pocieszemy się, ona jakim nowym aspirantem dla którego sześć krów i tysiąc talarów będą skarbem Kalifornji, a ja choćby Beatryczą przez ciebie odrzuconą.“

— „To weź się do Józi“ po krótkim namyśle odezwał się protegujący Pafnucy, „tam zamożność i pieniężność najmniejszéj nie podlegają wątpliwości.“

— „Tak, to prawda, ale widzisz tam dużo dzieci, a cztery panien wzrostem goniących jedna drugą. Synów trzech, jak więc wyrachowałem, to stary gotówką nie może dać więcéj jak trzydzieści tysięcy i to najwyżéj. A to strasznie mało, kiedy mnie na gwałt potrzeba przynajmniéj osiemdziesięciu...“

— „Pogadaj ze staremi, to może przysypią, przerwał Pafnucy.

— To na próżno, już przeprowadziłem stosowne działanie i badanie, i stary przy trzydziestu tysiącach jak się uparł tak ani rusz, jak narowny koń pod górę.

— „Uuu“ mruknął Pafnucy, „to cię żałuję, bo na nieszczęście są tacy ojcowie uparci, że jak raz otaksują swoje motylki, to choćby późniéj pozmieniały się w poczwarki, o grosz jeden pierwiastkowéj taksy nie podwyższą. Szkaradna niewyrozumiałość, świat coraz gorszy i niedorzeczniejszy.“

— „Na to nie ma lekarstwa“ z rezygnacją odezwał się Gaudenty, „dla tego zawsze wracam do niedoszłéj twojéj dulcynei, kto ona?

— „A — wiesz co, mam dla ciebie stosowną partję“ nagle odezwał się Pafnucy pomijając zupełnie zrobione zapytanie, „Marynia jedynaczka, rodzice mają trzy wsie prześlicznie urządzone, jestem pewny gotowizny grubéj u nich, gdyby zaś co brakowało to pożyczą...“

— „Marynia? przerwał Gaudenty z szyderskim uśmiechem podnosząc ramiona w górę, „straszneś naiwny mój drogi. Przejrzałem hypotekę i wiesz co znalazłem? Oto dług na długu, a wszystko wymagalne, tak że większą połowę majątku przeciążają.“

— „Bój się Boga! czy to być może? zapytał się Pafnucy zrywając nagle z kanapy, jakby ukłuty stu szpilkami naraz, a ja dom ten sądząc z prezentacji jego na zewnątrz, miałem zawsze za zamożny i pieniężny.“

— „No, biedy tam nie ma, i połowa majątku jeszcze piękną przedstawia cyfrę. Panna ładna, wyprawka będzie wykwintna, ale na resztę czekaj tatka latka, a mnie zaraz trzeba.“

— „Ale wiesz co“ śmiejąc się rzekł Pafnucy, ostrożny jesteś i przemyślny, niech cię Bóg kocha.“

— „Niby ty także nie taki“ z pewną jakby urazą odrzekł Gaudenty.

— „Nie mój bracie, tyś ostrożniejszy. Ja bowiem oświadczyłem się polegając na ogólnéj opinji, a dopiero potem bliżéj wszystko przepatrzyłem.“

— „No mniejsza o to, ja zawsze wracam do pierwszego założenia. Kto jest owa co ustąpiła przed dzisiejszą twą narzeczoną?

Pafnucy chwilkę pomyślał i bębniąc palcami po stole odrzekł nareszcie:

— „Nie mój bracie, to nie dla ciebie, wierzaj mi zresztą mam na nią pewne rachuby.“

— „Przecieć z dwoma żenić się nie myślisz?

— „No, naturalnie, ale widzisz mój Gaudusiu, interes ten obiecałem przelać na brata mego ciotecznego i już nawet rozpoczęliśmy przedwstępne starania.“

— „A w takim razie nie przeszkadzam“ odrzekł obrażony Gaudenty, „i życzę jak najlepszego powodzenia. Sądziłem tylko że mogłem coś liczyć na twoją dla mnie życzliwość.“

— I nie omylisz się, tylko się nie gniewaj mój Gaudusiu, wiesz przecie jak cię szczerze kocham. No daj rękę, nie unoś się.“

— „Ale bo dziwny jesteś“ odrzekł Gaudenty podając rękę przyjacielowi, „wiesz jak mi na gwałt spiesznego potrzeba ratunku, a ty mi przedstawiasz ciągle interesa, które ja znam lepiéj jak własną kieszeń.“

— „No udobruchaj się. W staraniach moich małżeńskich, nabyłem pewnych wiadomości“ odrzekł protekcjonalnie Pafnucy, „i tych chętnie użyję na twoją korzyść, ale na to potrzeba namysłu, rozwagi nie moja więc wina, żem ci zaraz nie nastręczył coś praktycznego. Pomału jednak znajdzie się, tylko cierpliwości.“

I nastąpiła cisza, tylko anioł rachunku zdawał się szeleścić skrzydłami, nad młodemi buchalterami, zatopionemi w głębokich myślach w szrankach rachuby małżeńskiéj. Po chwili zerwał się Pafnucy z siedzenia i odezwał się z największą radością:

— „Mam, mam, przewyborny interes! Panienka jak polny bławatek, mieszka razem z matką, emerytka po urzędniku dość znacznym, i posiada sześćdziesiąt tysięcy w listach zastawnych...

— „To troszkę mało, mnie gwałtem trzeba ośmdziesiąt“ wtrącił Gaudenty, nos jak to mówią spuszczając na kwintę.

— „No, może się znajdzie więcéj, bo babinka skrzętna, a córkę pragnie wydać gwałtem za obywatela wiejskiego.“

— „Listy zastawne tak strasznie nisko teraz stoją“ wtrącił znowu Gaudenty cieniuchnym jakby płaczliwym głosem.

— „Przyjmą ich zaręczam w nominalnéj wartości, wierzyciel jak zobaczy pieniądze zaraz mięknie jak wosk.

— „Ale...“

— „Żadnego nie ma ale, poradzisz sobie i będzie dobrze. Panienka zaś wcale okaźna, ja sam już prawie zdecydowany na rozwinięcie starań o jéj rączkę, ale zdarzył się lepszy interes, nie podobna więc było go opuszczać.“

— „No, naturalnie“ potwierdził zupełnie przekonany Gaudenty, „A zatem poczciwy mój Pafnusiu, weź mnie w swoją opiekę, kupić nie kupić, ale potargować nie zawadzi. Sprobuję.“

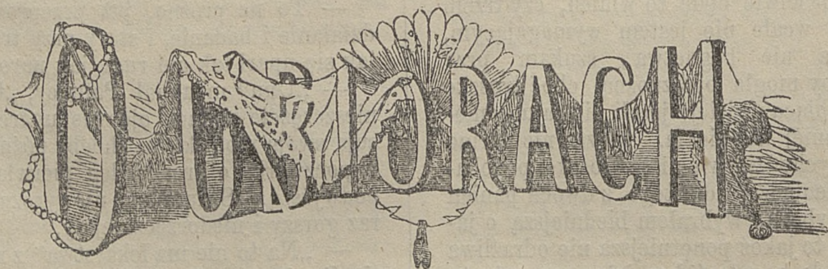
— „Prześlicznie, tak to lubię. Dziś jeszcze wieczór zapoznam cię z wybranym dla ciebie aniołkiem.

Poznanie, nadskoki, grzeczności, a nawet zdeklarowanie się, jeszcze nie jest ślubem. Zgodzisz się na wybór, to dobrze a jeżeli przez ten czas znajdzie się co lepszego, no to ludzie przy ołtarzu się rozchodzą, dla czegóżbyś ty przed ołtarzem, a nawet przed kościołem nie miał tego zrobić?

— „Ma się rozumieć, Bóg ci zapłać mój drogi, a zatem dziś wieczorem pierwsze spotkanie?

— „Dziś.“

Rozmowa na tem skończyła się. Przyczynę braku artysty w składzie naszego teatru, do roli kochanków, podsłuchaną rozmową pojąłem jak najdokładniéj. Artyści obrazują ludzi jakiemi są na świecie, rzeczywistych nie idealnych, gdy więc między niemi brakło prawdziwych kochanków, jakimże sposobem mają się znaleść na scenie?



Widzieliśmy w tych dniach wiele sukien, okrywek i kapeluszy, zakupionych w Paryżu przez panny Kuhnke. Pospieszamy więc donieść czytelniczkom naszem, że jak zawsze tak i w tym roku, magazyn ten zaopa-

trzony będzie na zimę w mnóstwo przedmiotów, odznaczających się prawdziwie dobrym gustem. Zostawiając opis sukien do przyszłego sprawozdania, wspomniemy, dziś tylko o kapeluszach i okrywkach, jako o rzeczach najpotrzebniejszych na tę porę.

Kapelusze wszystkie mają formę zwaną *Empire*. Ronda u nich małe, cokolwiek podniesione, główka szeroka, przyfałdowana lub gładka według woli, obejmująca dobrze warkocz, karczek maleńki gładki, woal do tego długi, prosty nie zakładany jak dotąd na rondo z elastycznym sznurkiem lub sprężynką, ale ściągnięty u góry na nitkę, i przytwierdzony broszą do wierzchu kapelusza około główki.

Pierwszy kapelusz fijołkowy aksamitny kupiony w sławnym magazynie Laury, ma rondo gładkie, główkę przyfałdowaną. W miejscu gdzie główka łączy się z rondem, przechodzi sfałdowana przez środek barbka czarna koronkowa, tworząc z tyłu niewielki karczek. Od tej barbki spada na bok, długi na łokieć koniec. Z tegoż samego boku, czarne piórko czaple, dopełnia wierzchniego ubrania. Podpięcie składało się z pliski fijołkowéj aksamitnéj, szerokiéj na dwa palce, z po za któréj wychodzi w górę, nafałdowana czarna koronka. Z prawego boku spada na tę pliskę maleńkie czaple piórko. Boki nagarnirowane fałdowaną blondynką białą, i szarfy z wstążki fijołkowéj dopełniają całości.

Drugi kapelusz popielaty, z niestrzyżonego aksamitu, ma rondo marszczone, główkę wypukłą, mocno w górę podniesioną. W koło ronda idzie plisa ze zwyczajnego popielatego aksamitu, naszyta trzy razy wązkim łańcuszkiem złotym, karczek mały, zakończony również plisą i łańcuszkami. Woal do tego popielaty gazowy wpięty na środku główki kameą oprawną w broszę. Spód ronda podszyty cały pliską z aksamitu niebieskiego, *bleu mexique*, przybraną złotym łańcuszkiem. Plisa ta stanowi całe podpięcie po bokach. Oprócz tego nad czołem wpięty węzeł z niebieskiego aksamitu, przybrany pączkami mchowéj róży. Końce do wiązania popielate.

Trzeci kapelusz aksamitny czarny, zupełnie gładki, z małym gładkim karczkiem, przybrany w środku ronda wielką rozetą z różowéj wstążki, od któréj przeciągnięte na dwie strony końce tworzą zarazem szarfy do wiązania.

Nad czołem, takaż sama różowa rozeta, stanowi podpięcie. Po bokach twarzy nagarnirowana czarna koroneczka. Z rozety wpiętéj na wierzchu kapelusza, wychodzi długi woal czarny tiulowy w muszki.

Resztę kapeluszy zostawiemy do przyszłego sprawozdania. Tu dodamy tylko że czarne aksamitne ubrane wstążką różową, liczą się do najmodniejszych w tym roku.

Powiedzmy teraz o okrywkach. Z pomiędzy nich najwięcéj uważaliśmy paletotów, rozmaitéj długości, w kolorach: popielatym, szarym i *marron*. Jedne z nich zrobione z grubéj tkaniny, naśladujące skórkę baranka, inne z Brystolu, lub z miękkiéj tkaniny wełnianéj zwanéj *velours*. Jedne puszczone są wolno drugie mocno wcięte do stanu. Niektóre objęte z brzegu wązkiem na palec futerkiem czarnem lub barankiem, inne po prostu objęte pletnią. Piękne guziki rzeźbione z konchy perłowéj, porcelany lub metalu, stanowią główną ich ozdobę.

Z pomiędzy tych paletotów zwrócił szczególniéj naszą uwagę czarny barankowy, podbity materją fijołkową, spięty na piękne guziki z mozajki.

Drugi skromniejszy lecz nie mniéj piękny, z miękkiéj tkaniny *velours*, w kolorze szarym miał brzeg podszyty w koło pod spodem plisą fijołkową jedwabną. Kołnierzyk fijołkowy aksamitny dosyć duży, i kieszenie oznaczone aksamitem, zachodzące ku tyłowi stanowiły główne jego przybranie.

Trzeci paletot w kolorze ciemno wiśniowym z niewielkim kapturkiem, obłożony był w koło wązkim pasem czarnego połyskującego futerka. Kapturek ozdobiony był sznurem.

Z pomiędzy Burnusów, uważaliśmy jeden zwany *Orient*, z małemi rękawkami, bardzo wygodny w porze zimniejszéj, bo nosić przy nim można manszon futrzany.

Śliczne też są paletociki z pluszu czarnego w białe centki, inne na białem tle w czarne centki po rs. 22 kop. 50. Wiele także paletocików aksamitnych robią na wacie, jedne zupełnie wolne inne wcinane do figury.

Zasługują także na wzmiankę ładne bluzki czyli koszulki kaszmirowe ubierane flanelką w odmiennym kolorze.

Jedna z nich biała kaszmirowa miała trzy plisy z flaneli pąsowéj w czarną kratkę i takiż kołnierzyk dosyć duży z wyłożonemi z przodu końcami. Przód spinał się na stalowe guziki. Rękawy nie szerokie przybrane były u ręki pąsowym mankietem, nad którym szły dwie klapki, naszyte w odstępach.

Druga koszulka pąsowa miała z przodu listwę szeroką z popielatéj flaneiki; od téj listwy rozchodziły się klapki po dwie na każdéj stronie.

Od góry przez ramię szedł klin popielaty. Mankiety popielate i takiż stojący kołnierz u szyi dopełniały ubrania.

Trzecia koszulka *bleu méxique* przybrana była listwą popielatą i takimże wyłożonym kołnierzem, równie jak mankietami i naramiennikami.

Uważaliśmy także śliczne kaftaniki czarne aksamitne bez rękawów obszyte wstawką *Cluny*. Przody u nich zaokrąglone u dołu, pod spód idzie bluzka biała muślinowa lub też z kolorowego fularu. Kaftaniki te służą tylko do ubrania w pokoju lub do teatru.

Redakcja ma sobie za obowiązek zawiadomić czytelniczki, że panny Kuhnke ze zwykłą sobie uprzejmością przyrzekły udzielać Tygodnikowi Mód różnego rodzaju form. Z tych niektóre już były do pisma naszego dołączone, a wkrótce dodane będą kroje salop do podszycia futrem, sukni *Gabrjeli* i kaptura watowanego. Zaufanie jakie magazyn ten zjednać sobie od dawna potrafił, może być dostateczną rękojmią, że formy przez niego udzielane, odpowiedzą wybornie potrzebie i nic nie pozostawią do życzenia.

ROZMAITOŚCI.

KWIATY I OWOCE.

(*Dalszy ciąg.*)

Okno zachodnie. Jeżeli mieszkanie składa się z kilku pokoi wychodzących na zachód, w takiem ra-

zie można uprawiać kwiaty do woli. Za oknem można umieścić długą skrzynkę, szeroką jak mur i odpowiednio głęboką, napełnić ją ziemią ogrodową, pomięszaną równą ilością inspektowéj, tym sposobem urządzi się grządka w minjaturze, na któréj powinny kwitnąć bezustannie kwiaty, zmieniając się przez całe lato. Nie trzeba do téj grządki kupować roślin kwitnących, ale młode flance. Podlewając je często lecz nie obficie, wkrótce doczekamy się pięknych kwiatów. Tym sposobem można mieć przez całe lato astry, balsaminy, groszek pachnący, gwoździki, koreopsis i zinję.

Ktoby mógł więcéj czasu poświęcić ogródkowi swemu za oknem, może zamiast flanców kupić nasiona wymienionych kwiatów. Jedne z owych nasion można posiać w miejscu gdzie będą kwitły, inne zaś w rogu grządki, zkąd się przesadzą późniéj. Kupując nasiona u ogrodnika, znajdujemy przy nich objaśnienie, w jakim czasie ma być siana roślina, i czy ją należy przesadzać, czy też zasiać od razu w miejscu.

Między ładnemi roślinkami, które od wiosny do późnéj jesieni mogą być ozdobą okien, radziemy szczególniéj bratki. Od niedawnych czasów kwiatki przebyły zupełną przemianę. Wymagamy dziś od bratków żeby były zupełnie okrągłe, żeby miały tło jasne, a na nim ciemne regularne prążki, rozchodzące się od środka. Siejąc ziarno wyborowe, otrzymujemy piękne a rozmaite odmiany. Rzecz godna zastanowienia, że bratki zasiane na wiosnę, nie kwitną nigdy bardzo dobrze. Mimo najobfitszego podlewania wskutek upałów letnich nabywają szczególnéj choroby: liście ich bieleją, łodyga wyrasta nad miarę, kwiaty zmniejszają się i tracą kształt do niepoznania. Trzeba siać nasienie bratek w miesiącu Sierpniu, a wtedy kwiatki zakwitną jeszcze przed jesienią. Wówczas należy wybrać co piękniejsze przesadzić je na grządkę lub w doniczki, po kilka razem, niech tak przezimują na dworze, a z wiosną zakwitną znowu, i przez całe lato kwitnąć będą, byle tylko obrywać starannie kwiat przekwitły. Dwóletnie bratki nie równie są trwalsze od zasianych na wiosnę.

(d. c. n.)

Opis ryciny

Figura 1. Suknia z fularu *Schangai* garnirowana u dołu i na zszyciu brytów ruszką czarną mantynową, wystrzyganą w maszynie. Stanik z baskiną rozcinaną w odstępach, ogarnirowany tak samo. Kapelusz z aksamitu niestrzyżonego przybrany koronką czarną i kłosami kukurydzy.

Figura 2. Suknia z *granitu* popielatego w czarne kropki, obszyta u dołu grubym sznurem szafirowym. Zwierzchnia spódniczka podniesiona na każdym brycie w festony i podpięta węzłem z pasmanterji. Stanik okrągły do paska. Mantyla szalikowa z kapturkiem, objęta sznurem w koło. Parasolik fularowy z rączką dębową.

Ubranie małego chłopczyka. Kaftanik z szarego korciku, naszyty karmazynową plecionką wełnianą. Kamizeleczka z podwójnym bawetem spięta na guziki koralowe. Majtki proste, wyszyte po bokach plecionką. Krawacik fularowy karmazynowy. Kapelusik okrągły kastorowy opasany wstążką karmazynową. Buciki zę skóry surowéj.



Opaska grecka z aksamitu czarnego naszyta cekinami złotemi. Długie końce z aksamiki okręcają się koło warkocza i wiążą na kokardę.

KORRESPONDENCJA.

Panu Feliksowi Kali. Do sprawunku. dołożyliśmy złp. 2 gr. 24.

Pani Kle. Nic. Kapturek włóczkowy dla dziecka kosztuje od 4 do 8 złp.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina Paryzka.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.



Tilquin fils Imp. r. des Fossés St J. 3. Paris

3457

TYGODNIK MÓD

w Warszawie